



MAEVE HARAN

MIEĆ
WSZYSTKO

*Każda kobieta
kiedyś była bohaterką
tej historii.*

Penny Vincenzi

MARGINESY



MAEVE HARAN
MIEĆ WSZYSTKO

Przełożyła Agnieszka Sobolewska



WYDAWNICTWO MARGINESY

Wstęp

Dwadzieścia lat temu napisałam *Mieć wszystko*, historię Liz Ward, która próbuje pogodzić zawrotną karierę w telewizji z wychowywaniem dwojga dzieci i po drodze napotyka przeszkody. Powieść wywołała ogromne poruszenie nie tylko w Wielkiej Brytanii, ale na całym świecie. Mnóstwo ludzi było gotowych klócić się zażarcie w studiach telewizyjnych, radiu i niezliczonych artykułach w prasie o to, czy można, czy też nie można mieć wszystkiego.

Wznowienie tej książki będzie fascynującą okazją, aby sprawdzić, czy dla nowego pokolenia czytelniczek sytuacja się zmieniła, czy też nadal pokutuje przekonanie, że to kobiety – mimo pracy zawodowej – są odpowiedzialne za każdą wizytę dziecka u dentysty, przygotowanie kostiumu na występ w jasełkach czy zwolnienie z powodu ospy wietrznej.

Starałam się, żeby *Mieć wszystko* było książką zabawną, realistyczną i wzruszającą. Mam szczerą nadzieję, że obecne pokolenie przeczyta ją z równym zainteresowaniem i będzie się o nią spierać z równym zapałem co poprzednie.

*Maeve Haran
Londyn, 2014*

Having It All

COPYRIGHT © Maeve Haran 1991

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Agnieszka Sobolewska
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
WARSZAWA 2016

Rozdział 1

Liz Ward, ambitną menedżerkę Metro Television, wulkan energii i kreatywności, obudził niespodziewany dotyk dłoni, która wsunęła się pod bluzę jej jedwabnej piżamy i zaczęła pieścić jej lewą pierś.

Przez dziesięć sekund Liz nie otwierała oczu, poddając się przyjemnemu uczuciu podniecenia. Kiedy druga dłoń wkradła się do spodni od piżamy, Liz w odpowiedzi wygięła plecy w łuk, odwróciła głowę na bok i naraz w jej polu widzenia znalazło się radio z budzikiem.

– Rany boskie! Dziesięć po ósmej! – krzyknęła, bezceremonialnie odpychając dłonie Davida, i wyskoczyła z łóżka. – Mam zebranie z Conradem o dziewiątej piętnaście!

Cisnęła piżamę na podłogę i rzuciła się do łazienki. Na podeście zatrzymała się i nasłuchiwała. Cisza. To zawsze zły znak. Co, do diabła, kombinują Jamie i Daisy?

Lekko spanikowana otworzyła drzwi do pokoju córki. Jamie siedział obok Daisy na jej łóżeczku w swoim nowym stroju Batmana, założonym tył na przód, i usiłował obwiązać peleryną od tegoż kostiumu protestującą młodszą siostrę. Na podłodze leżała porozrzucana cała zawartość szuflady Daisy z rajstopami.

Jamie spojrział na nią z miną winowajcy.

– Były nam potrzebne. Musi mieć rajtuzy, jeśli ma być Robinem. No nie, Daisy?

– Ja Robin – przyświadczyła zapytana.

Liz zdusiła w sobie chęć wrzaśnięcia na syna, że jest już piętnaście po ósmej i spóźni się do szkoły. W końcu pretensje mogła mieć wyłącznie do siebie, skoro świntuszyła z Davidem. Pocałowała więc chłopca, pełna poczucia winy, i pobiegła z powrotem do sypialni. Wyciągnęła z szafy swój kostium, modląc się, żeby nie był upstrzony okruszkami wafelków zbożowych Weetabix, pozostawionymi przez lepkie paluszki Daisy. Kobiety pracujące w Metro TV, od wampa szefującego działowi rozrywki aż po panią sprzątającą wychodki, wyglądały, jakby zeszły prosto z okładki „Vogue’a”, a Liz czuła się przy nich jak kopciuch.

David, razem ze swoją zranioną dumą, schował się pod kołdrą. Zerwała ją z niego bezlitośnie i wręczyła mu przedszkolny dres syna.

– No chodź, tatuśku, ubierzesz Jamiego. Ja przewinę Daisy w łazience.

Znów zerknęła na zegarek. Ósma dwadzieścia pięć. O, mój Boże. Radości pracującej matki.

Kiedy zeszła na dół z Daisy pod jedną pachą i raportem, który miała przeczytać wczoraj wieczorem w łóżku, pod drugą, David był już pogrążony w lekturze prasy. Jak zwykle siedział przy stole, nie zwracając uwagi na kłębiący się wokół niego chaos i jedząc tosta, którego sobie zrobił, chociaż o tosty dla pozostałych domowników – jak zawsze – się nie zatroszczył. Jak John Donne mógł powiedzieć, że żaden człowiek nie jest wyspą? Przy śniadaniu każdy mężczyzna staje się wyspą, odrębną i nieświadomą, na morzu kobiecej krzątaniny.

Wciąż nadąsany po tym, jak go odtrąciła, był tego ranka jeszcze bardziej milczący niż zazwyczaj, z nosem wetkniętym w „Financial Timesa”. Nagle oderwał się od lektury i przesunął gazetę w jej stronę, a raczej przeprowadził ją przez tor przeszkód, manewrując między purée z bananów, płatkami Coco Pops i przewróconymi kubkami niekapkami.

– Spójrz na to. Artykuł o Metro TV. Conrad mówi, że wreszcie mianuje dyrektora programowego. – Podnosząc głos, żeby przekrzyczeć kakofonię wrzasków Daisy, uporczywych żądań Jamiego, by na niego popatrzeć, kiedy wspina się chybotliwie po swoim krześle, oraz dudnienia radia niani nastawionego na New Kids on the Block, David zawołał do niej przez stół: – Może zgłosisz swoją kandydaturę?

– Ja? – Liz wołałaby, żeby jej odpowiedź mniej przypominała okrzyk paniki. Zaczęła pracę w Metro Television jako kierowniczką działu reportażu dopiero kilka tygodni temu, kiedy stacji przyznano koncesję dla telewizji komercyjnej w Londynie, i zamierzała poświęcić te trzy miesiące dzielące ich od rozpoczęcia nadawania na spokojne zaaklimatyzowanie się i przygotowanie pomysłów na wejście na antenę.

– Tak. Ty. Elizabeth Ward. Utalentowana producentka. Autorka zupełnie nowego stylu tworzenia programów. Matka dwójki dzieci. – David się rozkręcał. – Kobieta na tym stanowisku to byłby dla Metra genialny PR. Żadna inna telewizja nie ma dyrektorki programowej. Teraz jest dekada kobiet, na litość boską! A ty jesteś klasyczną współczesną kobietą. Błyskotliwa kariera i dzieci! Byłabyś idealna!

„Nic dziwnego, że jest takim dobrym naczelnym gazety” – pomyślała Liz z czułością. Umiejętność nakłaniania ludzi do robienia rzeczy, których robić nie chcieli, była jego ogrom-

nym atutem. Ale nie znał Conrada Marksa, twardego amerykańskiego dyrektora zarządzającego Metra. Conrad uważał, że kobiety nadają się tylko do jednej rzeczy. Doprowadził swój męski szowinizm do perfekcji jeszcze w ojczystym kraju, gdzie mężczyźni byli mężczyznami, a kobiety chodziły na zakupy. Nigdy nie przekazałby władzy babie.

– Nie znasz Conrada tak dobrze jak ja.

Skrzywiła się, przypominając sobie przedwczorajsze uroczyste otwarcie nowej, stylowej siedziby telewizji Metro. W jakiś sposób Conradowi udało się przekonać księżną Yorku, aby czyniła honory. Fergie pojawiła się w jednej ze swoich katastrofalnych kreacji: wydekoltowanej sukience chłopki, która powinna na zawsze pozostać w okolicach Mont Blanc, gdzie jej miejsce. Conrad przez większość ceremonii gapił się jej na piersi, a ledwie nieco się oddaliła, powiedział scenicznym szeptem do swojego zastępcy: – Widziałeś cycki księżnej? Królewskie bachory mają szczęście!

Conrad nigdy nie mianowałby kobiety dyrektorem programowym Metra.

– Ale ja jestem taką osobą od dobrych pomysłów, a nie typem twardego menedżera. – Liz usiłowała przełknąć kawę i jednocześnie nie pozwolić Jamiemu wycierać nosa w szkolny mundurek. – Nie mam instynktu zabójcy.

– Nie naciskasz dość mocno, i tyle. – Liz wyraźnie słyszała irytację w jego głosie. Tak bardzo się od niej różnił. Był taki pewny siebie. Miał trzydzieści pięć lat, a już został naczelnym „Daily News”; błękitnooki chłopiec Logana Greenęa, namaszczony na spadkobiercę całego jego imperium. Czasem ludzie, oceniając Davida po jego chłopięcej urodzie, lekceważyli go. I nieodmiennie tego żalowali.

No, ale David zawsze wiedział, czego chce. Daleko zajść. Wyjechać z Yorkshire, z komunalnego domu swoich rodzi-

ców. Odnieść sukces. I to mu się udało. W stopniu przechodzącym jego najśmielsze oczekiwania. Nie potrafił zrozumieć jej niechęci do zrobienia tego samego.

Patrzając na zegarek, wstał od stołu.

– Pamiętaj, jakie mamy czasy, pełne troski, ciepła i chęci dzielenia się. Instynkt zabójcy jest nie na czasie. Wszyscy mamy teraz wsłuchiwać się w kobiecą stronę. Liczy się intuicja. Wrażliwość.

– Gadanie. Spróbuj to powiedzieć Conradowi.

Pochylił się i pocałował ją przekornie.

– Nie. Ty mu to powiedz.

Liz wytarła płatki śniadaniowe z włosów Daisy i, odpychając lepkie rączki, które wyciągały się do jej żakietu, pocałowała jej miękką skórę na karku. Z ociąganiem podała córkę Susie, niani, i spróbowała przekonać Jamiego, żeby puścił jej nogę, bo chciała sprawdzić swoją teczkę. Jamie, jak zwykle, wył, uczepony jej niczym rzep.

Wychodząc, zerknęła na swoje odbicie w lustrze w przedpokoju. Nieźle się trzymała jak na trzydzieści sześć lat. Mogłaby trochę schudnąć, ale teraz przynajmniej nie miała zmarszczek. Dzięki Bogu, w zeszłym tygodniu się ostrzygła i nowa fryzura, jeśli nawet nie wrzuciła jej w nową dekadę, to przynajmniej wyciągnęła ją z lat siedemdziesiątych. Przydymiony szmaragdowy cień do powiek, na który namówiła ją fryzjerka, nadał jej oczom zmysłowy, orientalny charakter, co całkiem jej się podobało. Mówi się, że brunetki dłużej zachowują urodę. A w każdym razie brunetki tak mówią.

Spoglądając na zegarek, Liz poczuła krótkie, ale znajome ukłucie paniki: była spóźniona na zebranie z Conradem, trzeba oddać odkurzacz do naprawy i właśnie sobie przypomniała, że Susie chciała wziąć dzisiaj samochód. Jak ją na-

zwał David? Klasyczną kobietą współczesną kobietą. Bardzo zabawne...

Na cotygodniowym zebraniu programowym były, jak zwykle, tylko dwie kobiety: Liz i Claudia Jones, kierowniczka działu rozrywki Metro TV. Po gonitwie przez Londyn i pokonaniu biegiem trzech pięter – okazało się, że winda jest pełna – Liz dotarła do sali posiedzeń zasapana i spięta. Na szczęście Andrew Stone, szef działu wiadomości, też się spóźnił, więc udało jej się wślizgnąć do środka i usiąść, nie zwracając na siebie zbytnej uwagi.

W efekcie musiała obejść się bez kawy, za którą zdolna byłaby zabić, ale przynajmniej Claudia nie mogła spojrzeć wymownie na zegar, jak to miała w zwyczaju. Claudia, szykowna, bezdzietna singielka, stawianie pracy na pierwszym miejscu zmieniła w religię.

Zerkając ponad ogromnym stołem w sali posiedzeń na Claudię, Liz nie mogła się zdecydować, co w szefowej rozrywki budzi jej największą antypatię: to, że zawsze wygląda, jakby zesza z wystawy Harvey Nichols, bezczelne wykorzystywanie swojej kobiecości do uzyskania tego, czego chciała, czy kompletny brak talentu.

Claudia była typem człowieka, który podkrađa innym pomysły, a zasługi za nie przypisuje sobie. Uwielbiała być kobietą w męskim świecie i nie życzyła sobie na tym polu dużej konkurencji. Dążyła do ograniczenia liczby potencjalnych rywalek, a Liz miała poważne podejrzenia, że dotyczy to także jej.

Po Metro TV krążyła pogłoska, że kiedy Claudia mówi, Conrad Marks nadstawia uszu. A od czasu do czasu, jak plotkowano, w grę wchodzi także inne części ciała.

– Ładny kostium – pochwaliła Claudia. Liz spojrzała na nią zaskoczona. Życzliwość nie była w stylu Claudii. – To Armani, prawda?

Wszystkie oczy w sali przyglądały się Liz z zainteresowaniem.

Claudia niespodziewanie się uśmiechnęła.

– Szkoda, że tak ci się pobrudził z tyłu.

Liz z przerażeniem spojrzała przez ramię w dół. Na plecach żakietu, na wysokości łopatki, rozbryznięta się połowa zawartości śniadania Daisy. Przypominała teraz jakąś krzykliwą postpunkową biżuterię.

W damskiej ubikacji nie było czym tego wytrzeć. Papier toaletowy rozpadłby się i na czarnym kostiumie zostałyby jego drobinki, a ręcznik na rolce był za krótki i nie dosięgał. W nagłym przebłysku natchnienia sięgnęła do portfela i wydobyla kartę American Express. Nadała się w sam raz.

Kiedy Liz wróciła do sali posiedzeń, zdążył już przyjść Conrad. Wsunęła się na swoje miejsce w nadziei, że szef nie zauważy. Nadzieja okazała się płonna.

– Właśnie mówiłem, Liz – nie zadał sobie nawet trudu, by spojrzeć w jej kierunku – że z pewnością wszyscy się zastanawiacie, kto znalazł się na mojej liście najpoważniejszych kandydatów na stanowisko dyrektora programowego. Są to dwie osoby, obie z wewnątrz firmy. Zakładam, że chcielibyście wiedzieć, kto to taki? – Rozejrzał się po sali, delektując się niepokojem na twarzach zebranych. – Pierwszym kandydatem jest Andrew Stone. – Na dźwięk nazwiska lubianego, chociaż niezorganizowanego szefa działu wiadomości rozległ się stłumiony pomruk aprobaty. – A druga osoba to... – Conrad uśmiechnął się wilczo, bawiąc się z nimi, z lubością dawkując napięcie – kierownik działu rozrywki Metro TV, Claudia Jones.

Liz czuła się tak, jakby ktoś oblał ją kubłem lodowatej wody, ale dzięki temu umysł miała chłodny i ostry jak brzytwa. Gdyby Claudia dostała tę posadę, byłby to koniec Liz. Nie mogła do tego dopuścić. Musiała stanąć w szranki.

Jak jednak mogłaby to zrobić? Stanowisko dyrektora programowego wymagało pełnego zaangażowania, duszą i ciałem. A ona miała dwoje małych dzieci, które już i tak rzadko widywała. Gdyby kierowała Metro TV, nie widywałyby ich wcale.

Może nie wybiorą Claudii, może Conrad zdecyduje się na Andrew. Zerknęła na szefa wiadomości, roztargnionego i bezpośredniego, który szczerzył się idiotycznie, zbierając swoje papiery. Kiedy się pochylał, zauważyła, że koszulę miał wyprasowaną tylko z przodu, tam, gdzie było widać. Przypomniała sobie, że żona rzuciła go dla jednego z jego byłych kolegów, i Andrew musiał uczyć się domowych obowiązków, nomen omen, „w praniu”.

Spostrzegła, że Claudia patrzy wprost na nią z uśmiechem na ustach. No jasne, musiała wiedzieć, że Liz zostanie pominęta. Dlatego postarała się upokorzyć ją przed wszystkimi zebranymi.

Przyglądając się temu pewnemu sobie, kociemu uśmiechowi, uświadomiła sobie z absolutną, oślepiającą pewnością, że Conrad nie wybierze Andrew. Dyrektorem zostanie Claudia.

Miesiąc temu Liz rzuciła obiecującą karierę w BBC i dołączyła do zespołu Metra po to, by współtworzyć najciekawszą stację telewizyjną w Wielkiej Brytanii. Ambitną. Nową. Ekscytującą. Inną. A jaka byłaby pod kierownictwem Claudii? Tania. Wtórna. Pospolita. Przewidywalna.

Liz siedziała bez ruchu, ogarnięta paniką. Spektakl się skończył, wszyscy zaczęli zbierać swoje papiery i szykować się

do wyjścia, wstając od stołu i gratulując Claudii oraz Andrew. Za chwilę miało już być za późno.

Nagle Liz usłyszała swój własny głos, zadziwiająco spokojny i opanowany, który przebił się przez podekscytowane pomruki.

– Ponieważ wyraźnie uważasz, Conradzie, że dobrze byłoby mieć na stanowisku dyrektora programowego kobietę, też chciałabym zgłosić swoją kandydaturę.

Rozdział 2

– Mogę prosić o wyniki sprzedaży z ostatnich dwóch tygodni, Julie?

David starał się to powiedzieć obojętnym tonem. Na razie nikt oprócz niego nie zauważył niewielkiej strużki odpływu czytelników z „Daily News” do konkurencyjnego „Daily World”. Ale jego uwagi to nie uszło i wcale mu się nie podobało. Takie strużki miały w prasie paskudny zwyczaj zmieniać się w potop, jeśli się ich w porę nie wyłapało, więc chciał sprawdzić, kiedy i jak to się zaczęło, zanim na jego biurku przysiądzie Logan i rykiem zacznie się dopytywać, co się, do cholery, dzieje.

Na szczęście, w czasach dzisiejszych „wojen nakładowych” studiowanie danych o sprzedaży graniczyło z obsesją, więc jego prośba prawdopodobnie nie wzbudzi żadnych podejrzeń Julie.

David wziął do ręki egzemplarz „Daily World” i wznosił oczy do nieba. Nie przeszkadzałyby mu tak bardzo, gdyby tracili czytelników na rzecz „The Sun” – nie, to nieprawda, przeszkadzałyby, oczywiście, że by przeszkadzało, ale przynajmniej „The Sun” był pieprzoną gazetą. Ale nie „Daily World”! „Daily World” to szmata, na wpół pornografia, na

wpół fantazja, a wszelkie pozory dziennikarstwa wyrzucono tam przez okno.

Spójrzmy tylko na ten nagłówek na pół pierwszej strony, na litość boską: *PORWAŁO MNIE UFO*. Typowy przykład papki produkowanej masowo przez „Daily World”. Niedorzeczne historie, których nigdy nie sprawdzali, bo wiedzieli, że to bzdury. „Prawdziwe wyznania”. Zrobione teleobiektywem zdjęcia opalającej się Joan Collins albo księżnej Di. I całe strony plotek. Chociaż akurat dziennikarka prowadząca rubrykę plotkarską, Steffi Wilson, były chyba jedyną zaletą tego szmatławca. Wredna z niej małpa, oczywiście, ale przynajmniej dobra w tym, co robi.

David wstał i wrzucił „Daily World” do kosza na śmieci z taką siłą, że ten się przewrócił. Była pora na pierwsze zebranie redakcyjne tego dnia i mieli na nim omawiać materiały z prawdziwego zdarzenia, Bogu dzięki. Ale jak długo to potrwa? Wiedział, co się stanie, jeśli nie uda mu się powstrzymać spadku sprzedaży. Logan będzie chciał, żeby „Daily News” stawiało opór. Używając tej samej broni co „Daily World”.

– Fu, mamoo! Wyglądasz zupełnie jak pani Thatcher!

Jamie, golusieńki, stał w drzwiach i lustrował wzrokiem Liz miotającą się wśród stosu odrzuconych na bok ubrań, które zdążyła przymierzyć, usiłując wyglądać odpowiednio w roli Ambitnej Kobiety Pracującej na najważniejszej rozmowie kwalifikacyjnej w życiu.

Od prawie pół godziny przekopywała się przez swoją szafę, żałując, że jest w niej tyle tragicznych ciuchów: ohydnych nabytków z wyprzedazy, elastycznych spodni rurek, w których miała tyłek jak zawodnik sumo, fioletowych bluz od dresu. Gdyby tylko kupowała odzież w neutralnych kolorach, jak ra-

dziły pisma dla kobiet. Wtedy przynajmniej jej modowe porażki by do siebie pasowały.

Szarobrązowy bawełniany kostium wyglądał obiecująco, dopóki nie zauważyła tłustych śladów drobnych rączek wzdłuż brzegu spódnicy. Wielkie nadzieje wiązała z czarną lnianą sukienką typu futerał, ale miała za duży dekolt. Liz trudno byłoby odpowiadać na pytania o ramówkę, zaglądając między własne piersi.

Ostatnią deską ratunku był lniany beżowy kostium w prążki, z żakietem z poduszkami i spódnicą do kolan. Gdyby była za kolano, nawet Liz musiałaby ją odrzucić jako zbyt staroświecką. Nie, kostium wyglądał całkiem nieźle. Zapinając spódnicę, starała się nie myśleć o tym, w co będzie ubrana Claudia.

Wczoraj wieczorem przez dwie godziny gapiała się na pustą kartkę, myśląc: „Co, do cholery, im jutro powiem?”

A potem ją olśniło. Problemem niezależnej telewizji byli odbiorcy. Przeciętny widz kanałów komercyjnych był stary, niewybredny i niezamożny – taki Alf Garnett* telewizyjnej widowni. BBC sprytnie zgarnęła młodszych, bogatszych telewidzów – pijących martini i jeżdżących bmw – jednak to właśnie oni byli publicznością, na której zależało reklamodawcom. Musiała wymyślić jakiś sposób, żeby przyciągnąć ich z powrotem.

Kiedy o drugiej w nocy zajrzał do niej David, żeby sprawdzić, czy przyjdzie do łóżka, była tak pochłonięta planowaniem oferty programowej, że spojrzała na niego

* Bohater bardzo popularnego w Wielkiej Brytanii od lat 60. do 90. serialu komediowego *Till Death Do Us Part* (i jego dalszych części): Alf to londyńczyk z East Endu w starszym wieku, z klasy robotniczej, o reakcyjnie konserwatywnych poglądach, mizantrop, mizogin, rasista i ksenofob (przyp. tłum.).

z oszołomieniem. „Chcę tę pracę! – uświadomiła sobie z nagłym przyplywem podniecenia. – Naprawdę chcę ją dostać!”

Teraz, w zimnym świetle dnia, pewność siebie ją opuszczała. Czy to będzie prezentacja tylko przed Conradem, czy przed całym zarządem? Kiedy dziesięć minut później do drzwi zadzwonił taksówkarz, poczuła niemal ulgę. Zerknęła na Davida, postanawiając go nie budzić, bo wydawał się wy-czerpany, i ruszyła na palcach do drzwi.

– Hej – zaprotestował stłumiony głos spod kołdry – czy to nie dzisiaj jest twój wielki dzień? – Zaspany David wystawił głowę z pościeli i uśmiechnął się szeroko. – Nie możesz wyjść bez buziaka na szczęście. Założę się, że Claudia też takiego dostaje. – Łypnął znacząco.

Liz przysiadła na łóżku i potargała mu włosy. Wczoraj wieczorem martwiła się o niego. Milczał i wydawał się czymś zaprzątnięty.

– Wszystko w porządku, kochanie? – Podniosła jego dłoń i ją pocałowała.

W ułamku sekundy przeszło mu przez myśl, żeby powiedzieć o spadającej sprzedaży, ale od razu odrzucił ten pomysł. Byłby egoistycznym gnojkiem. To jej wielka chwila. Potrzebowała jasności umysłu, a nie zamartwiania się problemami, które mąż powinien umieć rozwiązać sam. Z uśmiechem przyciągnął ją do siebie, żeby pocałować, i w ostatniej chwili zauważył czerwony błyszczek na jej wargach.

– Co straszny potwór zrobiłby z błyszczkiem? – Pochylił się groźnie w jej stronę.

Odsunęła się ze śmiechem, ale on złapał ją za rękę, nagle poważniejąc.

– Posłuchaj mnie, mała. Jesteś genialna i piękna. Pamiętaj o tym. Zakasujesz Claudię. No, a teraz leć. I nie zapomnij do mnie zadzwonić, żeby dać mi znać, jak poszło.

Grzejąc się w ciepłe jego miłości, poczuła, że wraca jej pewność siebie. Zatrzymała się przy drzwiach i posłała mu całusa, ale on zdążył już zakopać się pod kołdrą i zasnąć. Wciąż uśmiechnięta zbiegła do czekającej taksówki, zapominając o zdenerwowaniu.

Kiedy opadła na miękkie tylne siedzenie, zapytała kierowcę, czy mógłby ściszyć radio. Jeśli przez dwadzieścia minut poczyta w spokoju swoje notatki, będzie gotowa. Ale taksówkarz wziął jej prośbę za zachętę do wesołej pogawędki.

– Ładny dziś dzień, co?

– Bardzo ładny. Czy byłby pan łaskaw...

– Telewizja Metro, tak? Nigdy o takiej nie słyszałem. Co to za jedni?

– Nowa firma. Właśnie zdobyliśmy koncesję po Capital TV. Zaczynamy nadawać za trzy miesiące.

– No i, cholera, bardzo dobrze, bo straszne badziewie puszczają. Wie pani, jaki jest problem z telewizją?

O Boże, będzie jej wykladał swój pogląd na telewizję. Akurat dzisiaj.

– Nigdy jej nie oglądają, to znaczy ludzie z telewizji. Nigdy nie siadają przed telewizorem, żeby naprawdę pooglądać coś w domu, tak jak my, biedaczyska.

– Jeśli nie miałby pan nic przeciwko temu, chciałam... – Liz spróbowała mu przerwać. Nie była w stanie dłużej tego wytrzymać. – Proszę posłuchać, mam coś pilnego do przeczytania. Niestety, naprawdę muszę się do tego zabrać.

Spokojnie, powiedziała sobie w myślach, prędzej czy później będzie musiał zamilknąć. Ale się myliła. Kiedy dojechali do siedziby Metro TV przy Battersea Bridge, Liz była bliska krzyku i miała nerwy w strzępach. Przytrzymując jej drzwi, upiorny taksówkarz dalej perorował na temat kolidujących ze

sobą ramówek i braku programów przyrodniczych. Liz wyskoczyła z samochodu tak szybko, że rajstopy zaczęły się o drzwiczki i się rozdarły.

Kiedy dotarła do biura, było piętnaście po dziewiątej, a ona – w stanie bliskim hysterii. Viv, jej sekretarka, zawsze pierwsza przy biurku na ich piętrze, już nastawiała kawę.

Liz opadła na fotel. Bez słowa pokazała na porwane rajstopy. Innych przy sobie nie miała. Claudia pewnie miała by zapasową parę w szufladzie, ba! sześć zapasowych par, obok gumowego penisa i pejcza, które niewątpliwie trzymała w celu zdominowania kolegów. U Liz poniewierały się tylko stara zupka w proszku i jeden ze smoczków Daisy.

Popatrzyła w osłupieniu na swoją sekretarkę. Viv ściągała właśnie jasnobezowe rajstopy Le Spec, doskonale widoczna z każdego punktu biura, w tej chwili na szczęście pustego.

– Proszę. Dobrze, że byłam na solarium. Jesteś w większej potrzebie ode mnie, jak to mówią. Ja mogę zostać dyrektorem programową tylko wtedy, kiedy sobie kupię wideo i pobawię się w telewizję w domu. To twoja wielka szansa.

Viv obciągnęła spódnicę na swoich długich nogach i włożyła z powrotem buty.

– A jeśli chcesz znać zdanie sekretarek, to uważamy, że Conrad ma już potąd Claudii Jones, za bardzo go naciskała w łóżku i poza łóżkiem. Z kolei Andrew Stone jest takim mięczakiem, że chyba nawet Conrad nie dałby mu tej fuchy. Więc naszym zdaniem możesz mieć szansę.

Gołonoga Viv poszła nalać im obu kawy, zostawiając Liz oniemiałą. Skąd, u licha, sekretarki to wszystko wiedziały? Pięć minut później Liz zakręciła się w swoim beżowym kostiumie w prążki i świetnie do niego pasujących rajstopach Le Spec. Czula, że z każdym łykiem gorącej kawy wraca jej od-

waga. Uspokojona, ściskając w ręku kartkę ze starannie przygotowanym wystąpieniem, była wreszcie gotowa udać się na górę do gabinetu Conrada.

W windzie spotkała Andrew Stone'a, który czytał wycinek z gazety i wyglądał na jeszcze bardziej zdenerwowanego niż ona. Biedny Andrew. Należał do mężczyzn, którzy pocili się jak Richard Nixon podczas badania wykrywaczem kłamstw. Wiedziała, że kiedy uścisną sobie ręce, jego dłoń będzie miękka i wilgotna, a oddech będzie mieć lekki zapach curry, chociaż Andrew umył zęby. Nic dziwnego, że żona go rzuciła.

Pochłonięty lekturą artykułu Andrew nagle uświadomił sobie, że są już na czwartym piętrze i że Liz wysiada. Rzucił się do drzwi w momencie, kiedy zaczęły się zamykać. Były jednak od niego szybsze, przycięły go, więc musiał rozewrzeć je siłą, wyglądając przy tym jak Woody Allen grający Clarka Kenta. Teczka upadła mu na podłogę, a notatki i wycinki rozsypały się po całym holu.

– Jezu! – jęknął rozdzierająco. – Miały być poukładane w kolejności!

Słyszając panikę w jego głosie, Liz posłała mu przelotny współczujący uśmiech i pomogła pozbierać porozrzucane papiery.

Kiedy gramolili się na podłodze, drzwi windy otworzyły się ponownie i z kabiny wyszła Claudia. Nagle hol wypełnił się mocnym zapachem perfum Giorgio, tak zuchwałym i niedającym się zignorować, jak ona sama. Cholerna Claudia! Jak ona to robiła, że zawsze udawało jej się zaskoczyć kogoś w głupiej sytuacji?

– Dzień dobry, Lizzie, złotko. Cześć, Andrew. Nie wstawajcie. – Claudia ominęła ich, niemal wbijając w dłoń Andrew swój dziesięciocentymetrowy obcas. Zalśniły jej przycięte na pazia ciemne włosy, kiedy przeszła koło nich, kołysząc bio-

drami, ubrana w jaskrawoczerwony dopasowany kostium ze złotymi guzikami. Usta i paznokcie miała pomalowane na identyczny kolor.

„A najgorsze – pomyślała Liz z wściekłością, kiedy pełen zachwytu menedżer działu sprzedaży przytrzymał Claudii drzwi, by mogła przez nie po królewsku przejść w drodze do gabinetu Conrada – najgorsze, że miała puste ręce”. Żadnej teczki. Żadnych kartek. Nawet kalendarzyka. Zamierzała zrobić prezentację zupełnie bez notatek!

Liz podała Andrew ostatnie wycinki i usiłowała nie czuć się załamana. Bo przecież właśnie o to chodziło Claudii. Była z siebie taka dumna, że zmieściła się z notatkami na jednej kartce, a tu jak gdyby nigdy nic wchodzi sobie Claudia i ma całą prezentację w małym palcu. Niech ją zaraza!

„Tylko spokojnie! To ty masz dobre pomysły, nie Claudia, Claudia zna się tylko na bzykaniu się z agentami i masowaniu ego gwiazd. David ma rację. Claudia nie potrafiłaby wymyślić strategii dla telewizji, nawet gdyby zależało od tego jej życie”.

Liz wygładziła lnianą spódnicę, która pogniotła się podczas zbierania papierów z podłogi, odgarnęła wpadający do oka kosmyk włosów i przytrzymała drzwi Andrew, żeby znów wszystko nie wyleciało mu z rąk.

Przed gabinetem Conrada siedziała Claudia, sączyła czarną kawę z filiżanki, nogi w cienkich czarnych pończochach złożyła skromnie na bok i wyglądała dokładnie jak wyjęta z ilustracji jednego z tych potwornie irytujących artykułów o tym, kto znajdzie się na najwyższych stanowiskach za pięć lat.

Drzwi się otworzyły i w progu stanął Conrad.

– Zapraszamy, Claudio.

Claudia spokojnie odstawiła filiżankę i wstała.

Patrząc na oddalającą się rywalkę, Liz zauważyła, że na jej kostiumie nie ma ani jednego zagniecenia, i poczuła ukłucie

wścieklej zazdrości. Gdyby tylko Claudii powinęła się noga, gdyby zapomniała, co powiedzieć, zaproponowała coś idiotycznego, nie rozumiała, o co chodzi z kosztem krańcowym, przejawiała jakiegokolwiek ludzkie cechy!

Ale Claudia nie była istotą ludzką. Była kosmitką w czerwonym kostiumie, która każdy ruch miała zaprogramowany, przemyślany, zaplanowany. Gdyby zerwać jej tę pełną samozadowolenia maskę, pod skórą prawdopodobnie nie byłoby naczyń krwionośnych i kości, tylko kabelki i terminale.

Kiedy Claudia zamknęła za sobą drzwi, Liz zmówiła w myślach modlitwę. Rzadko się modliła, a Bóg pewnie nie pochwaliłby jej odczuć. Ale i tak uznała, że nic nie zaszkodzi spróbować:

„Boże, jeśli istniejesz... tylko ten jeden raz... proszę... niech Claudia da ciała!”

Z uśmiechu Claudii po jej wyjściu z gabinetu Liz wydedukowała, że jej modły nie zostały wysłuchane. Uśmiech ten obwieszczał – wprost, ale subtelnie – że Conrad i zarząd znaleźli już dyrektora programową, więc pozostałe rozmowy zostaną przeprowadzane tylko dla zachowania form.

– Jak poszło? – wyrwało się Liz właściwie wbrew woli.

– Nieźle. Zupełnie nieźle.

Liz wiedziała, że języku Claudii oznacza to: „Może lepiej wycofajcie się teraz, niedorajdy, żeby nie narobić sobie wstydu”. Usiłowała skoncentrować się na powtarzaniu w pamięci, co zamierza powiedzieć.

Nie musiała długo czekać. Drzwi znów się otworzyły i oto już była jej kolej na powolne przypiekanie na ruszcie w ogniu podchwytliwych pytań, którymi zarząd Telewizji Metro miał chłostać jej miękkie ciało.

W gabinecie siedziało ich pięciu, sami mężczyźni, wszyscy – poza Conradem, który był w koszuli i czerwonych szelkach – ubrani w szare mundurki City. Finansiści. Wszyscy mówili, że w dzisiejszych czasach telewizją rządzą księgowi. Najwyższym zaszczytem nie było już zdobycie prestiżowej nagrody, lecz zmieszczenie się w budżecie.

Gdy Conrad wskazał jej miejsce, ponownie uderzyła ją jego charyzma. Był wprawdzie niski, ale wszyscy zawsze wiedzieli, że wchodzi do pokoju, nawet zanim go zobaczyli. Jak gdyby ilość energii w pomieszczeniu nagle gwałtownie wzrastała. Conrad sprawiał wrażenie, jakby w jego zbyt małym ciele upakowano nieskończone miliony atomów i wszystkie chciały wyrwać się na zewnątrz. Wydawało się, że można ogrzać sobie przy nim rękę.

Kiedy jednak Conrad przedstawił ją prezesowi zarządu, sir Derekowi Johnsonowi, oraz dwóm z pozostałych członków, jej wzrok przyciągnął piąty mężczyzna w gabinecie. Był wysoki i emanował szykiem kojarzącym się z człowiekiem z City, ale nie takim jeżdżącym porsche z telefonem samochodowym, lecz takim, który nadal nosi granatowe garnitury w delikatne białe prążki oraz subtelne krawaty i wierzy w dotrzymywanie danego komuś słowa. Liz nie wiedziała, że przetrwali jacyś przedstawiciele tego gatunku.

Mężczyzna wydawał jej się dziwnie znajomy i była tak zajęta gapieniem się na niego, że nie usłyszała nazwisk dwóch facetów w garniturach, których właśnie przedstawił jej Conrad. W końcu doszedł do tego piątego.

– A to nasz najnowszy członek zarządu, jedna z wschodzących gwiazd City, cudowne dziecko finansów i nieustraszony inwestor venture capital, Mark Rowley.

Liz poczuła, że jej szyja pokrywa się czerwonymi plamami, jak zawsze, kiedy się nagle speszyła. Mark Rowley! To nie

mógł być ten sam człowiek! Z przerażającą jasnością wróciło do niej wspomnienie wieczoru sprzed szesnastu lat, wraz z każdym jego bolesnym szczegółem.

Poznała Marka Rowleya na przyjęciu, niedługo po tym, jak pierwszy raz spotkała w Oksfordzie Davida. Mark miał dwadzieścia lat, tak jak ona, był absolwentem prywatnej szkoły, który właśnie zaczął pracę w Lloyds, grzecznym, nieśmiałym i zakompleksionym. Nie wydawał się zbytnio zainteresowany City, a entuzjazm wzbudzało w nim jedynie jego hobby i pasja – Armia Terytorialna. Był milczący i zasadniczy; zupełne przeciwieństwo Davida, który aż się palił, żeby zostać dziennikarzem i gardził każdym, kto zdecydował się podjąć nielubianą pracę, a już zwłaszcza chłopakiem z prywatnej szkoły, czerpiącym frajdę z zabawy w wojsko.

Ale potem Mark zaprosił ją na uroczystą kolację wydaną dla jego pułku w Goldsmith's Hall, a ona zgodziła się pójść. David był wściekły, kiedy się o tym dowiedział, a jego zazdrość sprawiła jej przyjemność.

Znajomi Marka nieszczególnie przypadli jej do gustu, wydawali się nadęci i zarozumiali, ale Mark wzbudził jej sympatię. To było miłe, że nie krył dumy z jej towarzystwa, ciągle się uśmiechał, zachwycony tym, że trzyma ją pod rękę. Jednocześnie jednak miała poczucie, że w jego niewinności i braku obycia było coś odpychającego; jakby nie umiał się całować. Zastanawiała się, czy w drodze do domu nie zacznie się do niej jakoś niezdarnie przystawiać.

Już po kolacji wyszli na piękny dziedziniec. Znajomi Marka i oficerowie stali na chodniku, rozmawiając; czekali na samochody, którymi mieli odjechać. Kątem oka zauważyła podjeżdżające zdezelowane mini, z którego głośników ryczał Van Morrison. Nie patrząc nawet na dzikie, kręcone włosy

ani wyzywające niebieskie oczy, wiedziała, że za kierownicą siedzi David.

W przyływie okrucieństwa, którego nadal żałowała, powiedziała Markowi „dobranoc” i wsiadła do samochodu Davida. Wyglądając przez tylną szybę, zobaczyła, jak Mark stoi na chodniku, znajomi wokół niego albo wyglądają na zażenowanych, albo się śmieją, i dostrzegła jego pełne urazy spojrzenie, które nie dawało jej spokoju przez te wszystkie lata.

Oczywiście, całkowicie się zmienił. Nieporadna nieśmiałość już dawno znikła pod warstwami obycia i wystudowanego wdzięku. Chłopaczka z prywatnej szkoły, który dla rozrywki czołgał się na manewrach po równinie Salisbury, teraz zajmowały wrogie przejęcia. Przez chwilę Liz zastanawiała się, czy to naprawdę ten sam człowiek. W końcu nie dał w żaden sposób do zrozumienia, że ją poznał.

Wtedy Mark popatrzył w jej stronę, przez moment podtrzymał jej spojrzenie, po czym omiótł wzrokiem pozostałych. Wciąż niczym nie zdradził, czy ją rozpoznał, ale już wiedziała, że to on. Co więcej, wyczuwała, że mimo pozorów towarzyskiego wyrobienia pamiętał tamten wieczór jeszcze lepiej niż ona. Szybko spuściła oczy, wpatrując się w notatki.

– No to Liz – głos Conrada oderwał ją od wspomnień – może zaserwujesz nam swoją strategię dla Metra?

Liz wlepiła wzrok w szefa i z trudem udało jej się odezwać. Kiedy zaczęła przedstawiać swoje propozycje dotyczące fabuły, dramatów i komedii, swoje plany co do aktualności, publicystyki i filmów dokumentalnych, poczuła, jak jej entuzjazm przebija się przez sztywny, formalny charakter spotkania, a nawet tu i ówdzie dostrzegła dodające otuchy uśmiechy. Mało tego, panowie najwyraźniej naprawdę uważnie słuchali, a ich pytania wskazywały, że traktują ją poważnie. W myślach odetchnęła z ulgą.

– Dobrze, Liz – wtrącił się w końcu Conrad. – Nie ma chyba wątpliwości, że pod względem kreatywności robisz imponujące wrażenie, ale telewizja w dzisiejszych czasach to będzie ciężki kawałek chleba. Niezależna telewizja komercyjna nie ma już monopolu na przychody z reklam. Walczymy na wszystkich frontach: BBC, wideo, a teraz jeszcze telewizja satelitarna zaczyna pożerać spory kawałek tortu. Przetrywamy, jeśli będziemy konkurencyjni. – Zawiesił głos i wiedziała, że szykuje się do zadania najważniejszego pytania. – Powiedz mi, Liz, o jakim budżecie myślałaś? Tak mniej więcej, oczywiście.

Liz rozpaczliwie usiłowała trzymać palce z dala od przycisku „Kasuj” w swojej głowie, będącego efektem nieprzespanych nocy i ciągłego zmęczenia, który czasem się uruchamiał i wymazywał to, co miała powiedzieć w kluczowych momentach. Przecież spodziewała się tego pytania. Spędziła połowę zeszłego wieczoru z kalkulatorem w ręku, by wiedzieć, o czym mówi.

Zawsze miała świadomość, że pomysły na ofertę programową przyjdą jej łatwo. Były jej mocną stroną. Ale pieniądze – to dopiero prawdziwy sprawdzian. Mogłeś być Stevenem Spielbergiem, ale jeśli nie miałaś finansowej biegłości księgowego, byłeś bez szans.

Rozejrzała się po twarzach poważnych panów w garniturach w prążki i uderzyła ją myśl, że tak naprawdę telewizja ich wcale nie interesowała. Obchodził ich tylko zysk, dochód, jaki mogło im przynieść Metro, kiedy już upora się z nużącym zadaniem produkowania programów. Telewizja była dla nich po prostu kolejnym towarem, jak nieruchomości, akcje czy udziały. Spośród nich tylko Conrad pracował wcześniej w tej branży, jeśli można tak nazwać produkowanie teleturniejów, przy których *Dobra cena* była szczytem wyrafinowania.

Wiedziała, że chcą usłyszeć konkretną liczbę, a przynajmniej jakiś przedział. A jednocześnie zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że podanie im jakiegokolwiek kwoty byłoby szaleństwem, nieostrożną obietnicą, której gorzko by pożałowała, gdyby dostała tę pracę.

– Wiem, że idą ciężkie czasy, Conradzie, ale związanie sobie rąk konkretnymi liczbami na tym etapie byłoby głupotą. Powiedzmy tylko, że wysokość budżetu byłaby realistyczna.

Był to unik i wszyscy o tym wiedzieli.

Wyczuła, że to koniec rozmowy. Conrad wstał i powiedział:

– Dziękuję, Liz, to było bardzo pomocne.

Wstała również i uścisnęła podane jej dłonie. Mark Rowley wciąż choćby najdrobniejszym gestem nie zdradził, że się znają. Liz zaczęła się zastanawiać, że może jednak to nie ten sam facet.

Andrew uśmiechnął się do niej życzliwie, kiedy wyszła. Claudia gdzieś znikła, przypuszczalnie pobiegła powiadomić redaktorów rubryk plotkarskich o swoim rychłym sukcesie.

Dopiero w połowie korytarza Liz zorientowała się, że zostawiła torebkę w gabinecie Conrada i przeklęła się w duchu za idiotyczną kobiecą obsesję noszenia jej wszędzie ze sobą.

Nasłuchiwała przez chwilę pod drzwiami, chcąc się upewnić, że nie trafi na jakiś krępujący moment. Zastygła z ręką gotową, by zapukać. Przez cienkie ściany działowe, będące źródłem irytacji wszystkich pracowników Metra – a także, jak powszechnie twierdzono, efektem zatrudnienia przez Conrada najtańszego wykonawcy, od którego wziął łapówkę – dźwięk przenikał doskonale, usłyszała więc, że zebrani w gabinecie dyskutują o jej wystąpieniu. Z zaskoczeniem skonstatowała, że opinie wszystkich były przychylnie. Wszystkich, prócz jednej osoby.

Wyważonym, uprzejmym głosem Mark Rowley właśnie oznajmiał, że jego zdaniem Liz wciska im kit.

Liz aż zeszywniała z tłumionej furii. Po tonie głosu poznała, że jednak się nie myliła. To był ten sam facet, któremu wtedy, przed laty, dała kosza. I w dodatku był pamiętliwy.

W pierwszym odruchu, zrodzonym z awersji do konfrontacji, chciała machnąć ręką na torebkę i odejść. A potem pomyślała o Davidzie i o tym, jak miałyby mu się wytłumaczyć ze swojej ucieczki.

Bez pukania otworzyła drzwi i wpadła do środka, nie dając im czasu na zmianę tematu.

– Witajcie ponownie, panowie. Najmocniej przepraszam. Zapomniałam tego. – Schyliła się i podniosła torebkę. – Czy mogę dodać jeszcze jedną rzecz? – Powiodła po nich wzrokiem, uważając, żeby mówić przyjemnym, spokojnym tonem. – Nie wciskam kitu. – Uśmiechnęła się. – Oczywiście, to ja tak twierdzę, prawda? Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, jak jest naprawdę. Mianujcie mnie na to stanowisko.

Sięgnęła do torebki, wyjęła plik kartek z obliczeniami, nad którymi pracowała poprzedniego wieczoru, i wepchnęła go Markowi Rowleyowi do rąk.

– Oto szczegółowo rozpisany budżet, którego potrzebuję, żeby zrobić z Metra najlepszą stację telewizyjną w Londynie. Wszystkie środki wykraczające poza ten budżet zdobędę sama dzięki sponsorom i koprodukcji.

Przy drzwiach odwróciła się i uśmiechnęła.

– Widzicie, panowie? Bez kitu.

W damskiej toalecie Liz spryskała sobie twarz zimną wodą i usiłowała ochłonać. Jakie to miało znaczenie, że zrobiła z siebie idiotkę i złamała wszystkie zasady korporacyjnej ety-

kiety, wchodząc tam z powrotem? Tak czy inaczej, nie nadała się na dyrektora programowego. Przyznała się do tego przed Davidem i taka była prawda. Przez ostatnie kilka dni dała się ponieść fantazji. Świat krawaciarzy i ich gabinetów należał do ludzi takich jak Claudia, którzy pomiatali innymi, i takich jak Mark, którzy potrafili chować urazę i mścić się po szesnastu latach. I niech go sobie wezmą!

Może pojedzie do domu i zje lunch z Jamiem i Daisy. Potrzebowała odetchnąć świeżym, niewinnym powietrzem; dobrze by jej zrobiło, rozwiało wciąż kipiące w niej złość i oburzenie.

– Kto by chciał być dyrektorem programowym? Jaaaa.... nie! – Sekretarka Liz, głosem wcale niepodobnym do Franka Sinatry z filmu *Wyższe sfery* (który śpiewał, że nie chce być milionerem), próbowała ją pocieszyć, podsuwając przy tym kawę i pączka, na oko dostarczającego cały dzienny przydział kalorii osoby będącej na diecie. Liz uśmiechnęła się z wdzięcznością i podniosła słuchawkę, żeby zadzwonić do domu. A niech to! Włączyła się automatyczna sekretarka i jej własny głos, brzmiący znacznie bardziej snobistycznie niż w rzeczywistości, poprosił o zostawienie wiadomości. Nagrała się, mówiąc Susie, żeby oddzwoniła, jeśli zamierzają jeść lunch w domu.

Pięć minut później rozległ się dzwonek telefonu i Liz rzuciła się odebrać, z nadzieją, że to Susie właśnie wróciła. Jeśli się pośpieszy, może dotrzeć do domu za pół godziny.

Ale to nie była Susie. Dzwonił Conrad z pytaniem, czy mogłaby przyjść na pięć minut na górę, gdyż podjęli decyzję.

***Pracujesz i brakuje ci dzieci?
Zostajesz w domu i zastanawiasz się,
czy czegoś nie tracisz?***

Liz Ward wierzyła, że można **mieć wszystko** - spektakularną karierę, udane małżeństwo i szczęśliwą rodzinę. Ale gdy awansuje na wysokie stanowisko w stacji telewizyjnej, trafia się jej **szef z piekła rodem**, rywalka w pracy robi wszystko, aby tylko się jej pozbyć, a najlepsza przyjaciółka okazuje się **podstępna żmija**. I nawet nie ma komu się pożalić, bo wtedy zburzy mit idealnej i **wielofunkcyjnej matki, żony i kochanki**.

Ale Liz już nie może dłużej udawać - **za sukces trzeba słono zapłacić**. Ma wszystko, a jednak nie ma nic. Brakuje jej rodzinnych kolacji, szkolnych przedstawień, **bajek na dobranoc** i wspólnego czasu z mężem. Tak jak wszystkie pracujące matki szarpie się między obowiązkami służbowymi, a **logistyką domową**. Czy to znaczy, że kobiety nie są w stanie znaleźć równowagi między życiem osobistym i zawodowym? A może wszystkie **udają, że to potrafią**, a w rzeczywistości żyją z niekończącymi się wyrzutami sumienia? Bo przecież w świecie **propagandy sukcesu** nie wypada mówić głośno, że nie da się mieć wszystkiego.

www.marginesy.com.pl



cena 39,90 zł

MARGINESY